


665



# „DZIADY”

## część III

Arcydramat Mickiewicza osnuty wokół — drobnej w skali historii, ale poważnej w skali świadomości jednostki — sprawy, jaką wytoczono grupie studentów Uniwersytetu Wileńskiego za przynależność do tajnych kółek patriotyczno-literackich. Młodzi spiskowcy wtrąceni do więzienia stają się męczennikami sprawy narodowej, przeżywają swoje wielkie, mistyczne uniesienia. Na zewnątrz zaś toczy się życie salonowo-towarzyskie, balet, przyjęcia, swawole...

Znamy to dzieło z lekcji polskiego, nie trzeba go tu bliżej przedstawiać. Natomiast przed stawienie „Dziadów” cz. III w teatrze dzisiejszym to już zupełnie inna sprawa. Przede wszystkim zważmy rozmiar i — że tak powiem — rozpęd artystyczny utworu. Pomijam już „Ustęp”, bo jest to właściwie epicko-satyryczny dodatek, trudny do przyswojenia w teatrze. G. Mrówczyński, reżyser Teatru im. C. Norwida w Jeleniej Górze, też go musiał odpisać na straty.

Przysłuchajmy się tylko „Improwizacji” Konrada: „Ja mistrz wyciągam dłonie! Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie na gwiazdach...”. Konrad rwie się nie tylko do gwiazd, ale także — do rządu dusz. Całą robaczywą rzeczywistość rozgniata w palcach i — jako nieokielznany indywidualista romantyczny — wyzywa nawet swą instancję najwyższą, czyli Boga. Powie dzielibyśmy, że przechodzi gwałtowny kryzys duchowy. Ale daje się nam to odczuć poprzez zaokrągloną retorykę i niedościgłą metaforę.

Tymczasem dziś, gdy poezja nauczyła się skromności, gdy nie wielki, mglisty symbol, ale konkret staje się jej żywiołem — fantastyka i metaforyka „Dziadów” brzmi nam w uchu jak echo spraw zamierzonych, odległych. Trzeba po prostu dobrego słuchu teatral-

nego, żeby to echo przybliżyć i uczynić przedmiotem rozważań.

To, co duchowe, niewidzialne, zaświatowe — cała ta tandeta metafizyczna (anioły, diabły, duchy...) może najwyżej tyle dziś budzić zainteresowania, ile budzi kicz. Nie traktujemy jej serio. Publiczność dzisiejsza i tak umie ją w cudzysłów bądź nawias, jeśli nie zrobi tego sam inscenizator. Ale Mrówczyński właśnie taki cudzysłów czy nawias znalazł: otwartą, eksperymentalną formę spektaklu. (To nic, że właściwie idzie się tu śladami Grotowskiego, który nas do takiego uwspółcześniania klasyki przyzwyczaił).

W spektaklu jeleniogórskim wszystko jest przecież jawne. Rzecz dzieje się na scenie, gdzie ustawiono wokół krzesła dla około 250 osób. Scenografia składa się z dwu stylizowanych drzew. Z jednej strony wierzba z umocowaną kapliczką, (przy niej trzy białe krzesła), z drugiej — rozdarty, wydrażony pień (przy którym stoją trzy siedziska czarne i drabiny). Za chwilę zasiadają na nich chóry — tu aniołów tam diabłów. I w tej inscenizacji taki kicz nie razi. Pośrodku gruba świeca na dużym lichtarzu. Pod lichtarzem leży postać Konrada przykryta czarną materią. Opodal stolik i przybory do picia, naprzeciw fotel obciążony zielonym materiałem. To pod senatorskie sny i działania. Prostokąt celi wykorzystany jest zarówno w funkcji celi jak i salonu. Wypadł jednak salon warszawski ze znaną dyskusją literacką.

„Dziady” w tych warunkach po prostu zaciekawiają i wciągają. Publiczność skupiona tak blisko toczącej się sprawy nie jest obojętna. Kto wie czy nie był to najlepszy z dotychczasowych spektakli przeglądu.